

Hannah zajęła miejsce, rozdzielając Goldmana i Straussa. Czekala teraz, aż na prośbę Rachel obecni przycisną telefony komórkowe. Gdy w końcu mogła już mówić, włączyła mikrofon i spojrzała na pierwszą linijkę tekstu.

– To narodowa tragedia, że podobna konferencja ma rację bytu... – Wtem na ulicy w dole rozległ się jakiś hałas, jakby trzask odpalonej petardy, i niemal jednocześnie głos mężczyzny wołający po arabsku:

– Chajbar, Chajbar, ja-Jahud!

Zeszła z podium i podbiegła do wysokich okien.

– O Boże! – wyszeptała.

Odwracając się, krzyknęła do dyskutantów przy stole, by odsunęli się od okien, ale jej słowa pochłonął huk wybuchu. Pokój w jednej chwili przemienił się w tornado wirujących odłamków szkła, cegieł, zdruzgotanych krzeseł, strzępów odzieży i ludzkich członków. Hannah czuła, że leci do przodu, choć nie wiedziała, czy wznosi się, czy opada. W pewnej chwili zdawało jej się, że widzi Rachel Lévy wirującą w powietrzu jak primabalerina. A potem Rachel zniknęła podobnie jak wszystko inne.

W końcu Hannah znieruchomiała. Leżała na plecach, a może na boku. Może na ulicy, a może w grobowcu z cegieł i betonu. Osaczała ją straszliwa cisza. Dławił dym i pył. Chciała strzepnąć piach z oczu, ale prawa ręka odmówiła jej posłuszeństwa. Wtedy uświadomiła sobie, że nie ma prawej ręki. A także, jak się zdawało, prawej nogi. Lekko obróciła głowę i zobaczyła, że obok leży jakiś mężczyzna.

– Profesorze Strauss, czy to pan?

Ale on nie odpowiadał. Był martwy. Wkrótce, pomyślała, ja też będę martwa.

Nagle poczuła, że ogarnia ją straszliwy chłód. Sądziła, że z upływu krwi. A może sprawił to wiatr, który na chwilę zdmuchnął czarny dym znad jej twarzy. Zdała sobie wtedy sprawę, że zarówno ona, jak i mężczyzna, który mógł być profesorem Straussem, leżą w gruzowisku na ulicy des Rosiers i że nad nimi stoi

czarno odziana postać z lufą automatu skierowaną w dół. Balaklawa zakrywała jej twarz, lecz nie oczy. Zjawiskowo piękne, lśniły miedzią i brązem niczym dwa kalejdoskopy.

– Proszę – powiedziała cicho, ale oczy pod maską gwałtownie zapłonęły.

Oślepiło ją białe światło i nagle znów szła przez hol, odzyskawszy rękę i nogę. Przekroczyła próg swej dawnej sypialni i zaczęła w ciemności szukać van Gogha. Ale obraz gdzieś zniknął. A po chwili zniknęła i ona.

\*\*\*

Władze francuskie poinformowały z czasem, że bomba miała pół tony. Ukryta w białej dostawczej furgonetce renault trafic została zdetonowana – wedle nagrań z kamer rozmieszczonych wzdłuż ulicy – dokładnie o dziesiątej, z chwilą rozpoczęcia konferencji w Centrum Weinberga. Zamachowcy wykazali się wzorową punktualnością.

Wedle fachowych ocen ładunek był zbyt duży jak na tak skromny cel. Eksperci francuscy uznali, że dwieście kilogramów trotylu wystarczyłoby aż nadto, by zrównać z ziemią centrum i zabić lub ranić wszystkich tam obecnych. Bomba o wadze pięciuset kilogramów zniszczyła domy i wybiła okna przy całej rue des Rosiers.

W Paryżu po raz pierwszy od niepamiętnych czasów odnotowano wstrząsy o sile dorównującej trzęsieniu ziemi. Fala wybuchu była tak gwałtowna, że uszkodziła podziemną infrastrukturę. W całej dzielnicy pękły gazociągi i wodociągi, a wagony rozpędzonego metra wykoleiły się tuż przed stacją Hôtel de Ville. Ponad dwustu pasażerów odniosło obrażenia, w tym wiele poważnych. Paryska policja początkowo sądziła, że w metrze również podłożono bombę, w związku z czym zarządzono ewakuację na wszystkich liniach. Życie w mieście zamarło. Dla zamachowców był to nieoczekiwany dar losu.

Potężna siła eksplozji wyrwała na rue des Rosiers krater głębokości sześciu metrów. Z furgonetki renault trafic nie pozostało nic oprócz lewych tylnych drzwi, które, o dziwo, wypłynęły w całości na falach Sekwany w pobliżu Notre-Dame, blisko kilometr od miejsca postoju samochodu. Z czasem śledczy ustalili, że pojazd skradziono w Vaulx-en-Velin, ponurym przedmieściu Lyonu zamieszkanym głównie przez ludność muzułmańską. W przededniu zamachu przewiózł go do Paryża kierowca, którego tożsamości nigdy nie ustalono i który pozostawił wóz na bulwarze Saint-Germain przed sklepem z wyposażeniem kuchni i łazienek.

Stał tam do ósmej dziesiątej następnego ranka, kiedy to wsiadł do niego inny mężczyzna – gładko ogolony, około metra siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, w czapce z daszkiem i ciemnych okularach. Jeździł centralnymi ulicami Paryża, zdawałoby się bez celu, aż do dziewiątej dwadzieścia, kiedy przed Gare du Nord dosiadł się do niego współnik. Początkowo francuska policja i służby wywiadowcze działały w przeświadczeniu, że drugim zamachowcem był również mężczyzna. Jednak później, po przeanalizowaniu wszystkich nagrań wideo, stwierdzono bez wątpienia, że to kobieta.

Zanim renault dotarł do Marais, kierowca i pasażer nałożyli na twarze kominiarki. A gdy wysiedli z pojazdu przed Centrum Weinberga, byli uzbrojeni w kałasznikowy, pistolety i granaty. Dwaj pracownicy ochrony Centrum zginęli na miejscu, podobnie jak cztery inne osoby stojące przed budynkiem. Przechodnie, którzy próbowali interweniować, również zostali bezlitośnie zamordowani. Pozostali świadkowie wydarzeń obecni na tej wąskiej ulicy rozsądnie wybrali ucieczkę.

Strzały przed Centrum ucichły trzydzieści sekund przed wybiciem godziny dziesiątej, a dwaj zamaskowani zamachowcy spokojnie ruszyli na zachód, kierując się rue des Rosiers w stronę Vieille-du-Temple. Tam weszli do popularnej piekarni, gdzie ośmiu klientów karnie czekało w kolejce. Wszyscy

zostali zabici, podobnie jak kobieta za ladą, która błagała o życie, nim dobiła ją seria z automatu.

Dokładnie w chwili, gdy padała na ziemię, nastąpiła eksplozja bomby ukrytej w furgonetce. Siła podmuchu wyrwała okna piekarni, lecz poza tym budynek nie ucierpiał. Zamachowcy nie zbiegli jednak z miejsca masakry, lecz wrócili na rue des Rosiers, gdzie jedyna ocalała kamera zarejestrowała, jak metodycznie przeszukiwali rumowisko, dobijając rannych i konających. Wśród nich znajdowała się również Hannah Weinberg, do której oddano dwa strzały, mimo że nie miała szans na przeżycie. Okrucieństwu terrorystów towarzyszyła niewątpliwa kompetencja. Nagranie ukazało, jak kobieta spokojnie usuwa nabój zaklinowany w lufie kałasznikowa, po czym dobija ciężko rannego mężczyznę, który chwilę wcześniej był na ostatnim piętrze budynku centrum.

Po ataku dzielnicę Marais na kilka godzin otoczył kordon policji. Wstęp miały wyłącznie służby ratownicze oraz śledczy. Późnym popołudniem, gdy ugaszono resztki pożaru i sprawdzono teren pod kątem dalszych zagrożeń bombowych, na miejsce tragedii przybył prezydent Francji. Po oględzinach skutków zamachu nazwał go „Holokaustem w sercu Paryża”. Ta opinia nie spotkała się z życzliwą reakcją niektórych nieprzyjaznych *banlieues*. W jednym z nich wybuchła nawet spontaniczna radość na wieść o masakrze, czemu zresztą policja szybko położyła kres. Większość prasy zlekceważyła jednak ten incydent, a pewien wyższy funkcjonariusz policji nazwał go „kłopotliwym zakłóceniem” bieżącego zadania, które skupiało się na pościgu za sprawcami zamachu.

Ich ucieczka z Marais, podobnie jak wszystkie szczegóły operacji, została starannie zaplanowana. Na pobliskiej ulicy czekał motocykl peugeot satelis, a w nim dwa czarne kaski. Zabójcy niezauważeni ruszyli na północ pod prąd strumienia ambulansów i wozów policyjnych. Mężczyzna prowadził, kobieta obejmowała go w pasie. Kamera drogowa zarejestrowała ich po raz ostatni w

pobliżu wioski Villeron w departamencie Val-d'Oise. Nim wybiło południe, stali się celem największego pościgu w historii Francji.

Państwowa policja i żandarmeria organizowały blokady dróg, sprawdzały dokumenty, przeszukiwały magazyny z wybitymi oknami i podejrzone rudery z uszkodzonymi kłódkami. Tymczasem w pewnym pięknym starym budynku przy rue de Grenelle zespół złożony z osiemdziesięciu czterech mężczyzn i kobiet prowadził poszukiwania zupełnie innego rodzaju. Znani wyłącznie pod nazwą Grupa Alfa w rzeczywistości działali w ramach tajnej agencji wywiadowczej DGSI (Direction Générale de la Sécurité Intérieure) – francuskich służb bezpieczeństwa wewnętrznego. Mówiono, że grupa powstała sześć lat wcześniej, po samobójczym zamachu bombowym dokonany przez dżihadystów przed znaną restauracją przy avenue Champs-Élysées. Specjalizowała się w rozpracowywaniu struktur rosnącego w siłę podziemia dżihadystycznego we Francji i miała prawo stosowania „aktywnych środków” w celu eliminacji potencjalnych islamskich terrorystów, nim ci zdołają podjąć jakiegokolwiek działania przeciw Republice lub jej obywatelom. Mówiono, że Paul Rousseau, szef grupy, opracował strategię większej liczby zamachów bombowych niż Osama bin Laden. On sam jednak, nie kwestionując zresztą tych pogłosek, szybko dodawał, że żadna z jego bomb dotąd nie wybuchła. Członkowie Grupy Alfa mistrzowsko opanowali sztukę uników i podstępów, a Paul Rousseau był ich bezspornym przywódcą i gwiazdą przewodnią.

W swych tweedowych marynarkach, z potarganymi siwiejącymi włosami i nieodłączną fajką sprawiał bardziej wrażenie roztargnionego profesora niż bezwzględne agenta tajnej policji. Nie bez powodu zresztą, gdyż to na uniwersytecie rozpoczął karierę i właśnie tam w chwilach zwątpienia pragnął powrócić. Był cenionym badaczem dziewiętnastowiecznej literatury francuskiej na paryskiej Sorbonie, gdy pewnego dnia jego przyjaciel z francuskiego wywiadu zaproponował mu pracę w DST (Direction de la Surveillance du Territoire), służbie bezpieczeństwa wewnętrznego. Był rok 1983 i w kraju

szerzyły się zamachy bombowe oraz zabójstwa dokonywane przez lewacką grupę terrorystyczną o nazwie Action directe. Rousseau dołączył do jednostki, której zadaniem była likwidacja tej grupy, i po serii błyskotliwych operacji wykonał powierzone mu zadanie.

Do roku 2004 działał w DST, zwalczając kolejne fale terroryzmu lewackiego i bliskowschodniego. Wtedy jednak po długiej walce z białaczką zmarła jego ukochana żona, Collette. Załamany jej śmiercią wrócił do swej skromnej willi w Luberon i rozpoczął pracę nad dawno planowaną wielotomową biografią Prousta. Ale potem nastąpił zamach na Champs-Élysées. Rousseau zgodził się odłożyć pióro i powrócić do walki, ale pod jednym warunkiem. Nie bawiła go obserwacja podejrzanych o terroryzm, podsłuchiwanie rozmów telefonicznych i lektura chorobliwych wynurzeń w internecie. Pragnął przejść do ofensywy. Jego zwierzchnik wyraził zgodę, podobnie jak minister spraw zagranicznych. I tak powstała Grupa Alfa. W ciągu sześciu lat istnienia udaremniła ponad tuzin groźnych zamachów na terenie Francji. Atak na Centrum Weinberga Rousseau odebrał nie jako porażkę wywiadu, lecz osobistą klęskę. Późnym popołudniem w dniu, gdy stolica Francji pogrążyła się w chaosie, zatelefonował do szefa DGSI, zgłaszając zamiar dymisji. Oczywiście zwierzchnik jej nie przyjął.

– Ale za karę – powiedział – znajdziesz potwora odpowiedzialnego za tę rzeź i podasz mi jego głowę na tacy.

Rousseau pominął milczeniem tę aluzję, gdyż nie zamierzał rywalizować z kreaturami, które bezwzględnie zwalczał. Wraz ze swym zespołem przystąpił do akcji z nie mniejszym zapałem niż fanatyzm religijny przeciwników. Grupa Alfa skupiała się na współpracy z ludźmi i również tą drogą zbierała teraz informacje. W kawiarenkach, na stacjach kolejowych i w bocznych uliczkach całego kraju jej członkowie spotykali się dyskretnie z informatorami – duchownymi, pracodawcami, ulicznymi cwaniakami, porządnymi obywatelami o umiarkowanych poglądach, a także z desperatami o pustym spojrzeniu, którzy znaleźli dom w globalnej wspólnocie radykalnego islamu.

Jedni współpracowali dla idei, drudzy dla pieniędzy, a jeszcze inni dlatego, że Rousseau i jego tajni agenci nie zostawili im wyboru. Nikt z nich jednak nie słyszał, by planowano ten zamach, nawet uliczni cwaniacy, którzy twierdzili, że wiedzą wszystko, zwłaszcza gdy w grę wchodzi forsa. Również nikt z Grupy Alfa nie zdołał zidentyfikować zamachowców. Być może były to samotne wilki, pozbawieni lidera dżihadyści, którzy zbudowali półtonową bombę tuż pod okiem wywiadu francuskiego, po czym sprawnie dostarczyli ją na miejsce przeznaczenia. To możliwe, myślał Rousseau, lecz mało prawdopodobne. Gdzieś musiał istnieć mózg tej operacji, człowiek, który opracował zamach, zwerbował wykonawców i zręcznie nimi sterował. To jego głowę Paul Rousseau miał dostarczyć szefowi.

Tak więc, gdy wszystkie francuskie służby bezpieczeństwa poszukiwały sprawców zamachu na Centrum Weinberga, wzrok Rousseau biegł znacznie dalej. Jak przystało na dobrego kapitana przy sztormowej fali, niezłomnie trwał na mostku, którym w tym wypadku był jego gabinet na czwartym piętrze.

Panowała tam atmosfera akademickiego nieładu, a w powietrzu unosił się słodkawy zapach tytoniowego dymu. Paul wydmuchiwał go z fajki, uparcie trwając w swym nałogu mimo licznych zakazów palenia w rządowych instytucjach. Pod kuloodpornymi oknami jego gabinetu, które zamontowano z inicjatywy szefa, znajdowało się skrzyżowanie rue de Grenelle i spokojnej małej rue Amélie. Budynek nie miał wejścia od ulicy, jedynie czarną bramę, która prowadziła na mały dziedziniec i parking. Dyskretna tabliczka informowała, że mieści się tam Towarzystwo Literatury Francuskiej, co wyraźnie wskazywało na wpływ Rousseau. Dla zachowania pozorów wydawał on cienki kwartalnik, który samodzielnie redagował. Wedle ostatnich szacunków miał dwunastu czytelników. Wszystkich dokładnie prześwietlono.

Natomiast wewnątrz budynku kamuflaż się kończył. Pomieszczenia przyziemia zajmował personel techniczny, parter obserwatorzy, a na pierwszym piętrze znajdowało się potężne archiwum Grupy Alfa, Rousseau wolał bowiem

staromodne papierowe akta niż cyfrowe pliki. Piętro drugie i trzecie stanowiło terytorium agentów operacyjnych. Większość z nich przybywała do budynku i opuszczała go przez bramę przy rue de Grenelle, pieszo lub w rządowych samochodach. Niektórzy jednak wchodzili tajnym przejściem łączącym gmach ze znajdującym się w sąsiedztwie zaniedbanym sklepikiem ze starzyzną. Należał do pewnego starszego Francuza, który służył w tajnych służbach podczas wojny algierskiej. Paul Rousseau jako jedyny członek Grupy Alfa miał prawo wglądu w przerażające akta sklepikarza.

Ktoś niewtajemniczony mógłby wziąć czwarte piętro za siedzibę prywatnego banku szwajcarskiego. W korytarzu o przyciemnionych światłach i surowym wystroju panowała cisza, tylko z otwartych drzwi gabinetu Paula Rousseau dobiegały dźwięki Chopina. Jego niezastąpiona sekretarka, żelazna madame Treville, siedziała przy starannie uporządkowanym biurku w przedpokoju, zaś na przeciwległym krańcu korytarza mieścił się gabinet zastępcy Rousseau, Christiana Boucharda. Bouchard uosabiał to, czego brakowało jego szefowi – młodość, sprawność i elegancję, a w dodatku był zabójczo przystojny. Ale nade wszystko cechowała go ambicja. Władze DGSI narzuciły go Paulowi, toteż powszechnie zakładano, że z czasem przejmie stery. Rousseau nie przepadał za nim, lecz nie była to zaciekła niechęć, gdyż Bouchard mimo oczywistych wad był dobrym fachowcem. A w dodatku człowiekiem bezwzględny. Jeśli należało wykonać jakąś brudną urzędową robotę, nieodmiennie to on ją nadzorował.

Trzy dni po zamachu na Centrum Weinberga, gdy terroryści wciąż pozostawali na wolności, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych odbyło się spotkanie szefów departamentów. Rousseau nienawidził takich zebrań, gdyż zawsze bez wyjątku przeradzały się one w polityczne rozgrywki, toteż wysłał w zastępstwie Boucharda. Dochodziła już ósma wieczór, gdy zastępca powrócił na rue Grenelle. Wszedł do gabinetu szefa i bez słowa położył mu na biurku dwie fotografie. Przedstawiały niespełna trzydziestoletnią kobietę o oliwkowej

skórce, owalnej twarzy i oczach lśniących brązem i miedzią. Na pierwszym zdjęciu jej długie do ramion, zaczesane do tyłu włosy, odsłaniały nieskazitelne czoło. Na drugim okrywał je surowy džihab z czarnego jedwabiu.

– Nazywają ją czarną wdową – rzekł Bouchard.

– Efektowne. – Rousseau, marszcząc brwi, podniósł drugą fotografię. Tę, na której kobieta miała tradycyjne nakrycie głowy.

– Jak się naprawdę nazywa? – spytał, patrząc w jej przepastne oczy.

– Safia Bourihane.

– Algierka?

– Z Aulnay-sous-Bois.

Aulnay-sous-Bois to przedmieście położone na północ od Paryża, enklawa przestępczości zrodzonej w tanich budynkach komunalnych zwanych HLM (*habitation à loyer modéré*), miejsce uchodzące za jedno z najbardziej niebezpiecznych w kraju. Policja rzadko się tam zapuszczała. Nawet Rousseau doradzał swym ulicznym operatorom, by pozyskiwali informacje z Aulnay na mniej niebezpiecznym gruncie.

– Ma dwadzieścia dziewięć lat i urodziła się we Francji – ciągnął Bouchard. – Jednak zawsze podaje się za muzułmankę, a dopiero potem za Francuzkę.

– Kto ją znalazł?

– Lucien.

Lucien Jacquard był szefem sekcji antyterrorystycznej DGSI i nominalnie zwierzchnikiem Grupy Alfa. W praktyce jednak Rousseau, pomijając go, składał raporty szefowi służb. By uniknąć potencjalnych konfliktów, informował wprawdzie Jacquarda o bieżących działaniach swej grupy, lecz zazdrośnie strzegł danych informatorów oraz operacyjnych metod jednostki. Grupa Alfa była państwem w państwie, niezależną formacją w łonie służb, którą Lucien Jacquard pragnął sobie podporządkować.

– Co on o niej wie? – Rousseau nadal wpatrywał się w oczy kobiety.

– Pojawiła się na jego radarze mniej więcej trzy lata temu.

– Z powodu?

– Swojego chłopaka.

Bouchard położył na biurku kolejną fotografię. Przedstawiała trzydziestolatka z krótko ostrzyżonymi włosami i rzadką brodą pobożnego muzułmanina.

– Algierczyk?

– Raczej Tunezyjczyk. Tym razem rodowity. Znał się na elektronice, a także na komputerach. Był jakiś czas w Iraku i Jemenie, nim wyjechał do Syrii.

– Al-Kaida?

– Nie. – Bouchard pokręcił głową. – ISIS.

Rousseau gwałtownie podniósł wzrok.

– Gdzie on teraz jest?

– Zapewne w raju.

– Co się stało?

– Zginął podczas nalotu koalicji.

– A kobieta?

– W zeszłym roku wyjechała do Syrii.

– Jak długo tam była?

– Co najmniej sześć miesięcy.

– Co robiła?

– Najwyraźniej uczyła się korzystać z broni.